



Bój się bogiń

Ciało jest gotowym dziełem sztuki – uważa choreografka Marta Ziółek, która chce wytańczyć rewolucję w teatrze i na ulicach

TEKST ALEKSANDER HUDZIK

Marta Ziółek staje na scenie i patrzy. W tle głośno dudni żywa muzyka. Pulsuje wyraźny rytm perkusji, aż chciałoby się poderwać do tańca, ale artystka stoi i tylko delikatnie porusza głową. Jakby chciała zajrzeć w oczy wszystkich wokół. Czeką, zaciągają się powietrzem, wreszcie robi pierwszy krok. – Taniec się zaczyna, gdy zaczynamy chodzić – mówi, a na scenie odrywa się od podłogi i zaczyna się ceremonia. Wybuchowa, głośna, intensywna, pełna skrajnych emocji, taka jak Marta Ziółek. Jedna z najciekawszych polskich performerek.

Marta właśnie wróciła z wyprawy w głąb Polski. Wyłączyła telefon, chciała wrócić do natury, przeżyć kompletne oczyszczenie, bo miniony rok był dla niej bardzo intensywny. Chociaż teatry i galerie sztuki były zamknięte, to jej udało się wykonać performance „One Woman Show” w Centrum Sztuki Zamek Ujazdowski, a ze spektaklem „Monstera” zadebiutowała na scenie Teatru Studio w Warszawie. W kalendarzu na rok 2021 ma zaplanowany film w Centrum Sztuki Współczesnej, premierę spektaklu w Teatrze Polskim „Nigdy nie będziesz szła sama”, produkcję własnego spektaklu. – Czasem muszę z czegoś zrezygnować – mówi, gdy pytam o jej życie.

Spotykamy się w Teatrze Polskim w centrum Warszawy. Przy bocznym wejściu pan ochroniarz poznaje Ziółek i wpuszcza nas do środka. Korytarze są puste, sala, do której wchodzimy, przy-

pomina opuszczoną salę gimnastyczną, z tą różnicą, że zamiast drabinek pod ścianami stoją krzesła, a tam, gdzie wisiałyby tablice i obręcze do gry w koszykówkę, widać światła. Jest połowa grudnia i zanim je wyłączymy, telefony wysłały nam powiadomienia o kolejnych restrykcjach. Do 18 stycznia zamknięte będą także teatry. Ziółek wie, że dla pracowników teatru to katastrofa, ale przypomina sobie, co usłyszała kiedyś od dr Doroty Sajewskiej z UW: – W momentach kryzysowych tak wiele rzeczy dzieje się na ulicy, że nie muszą się dziać w teatrze.

„Od oddechu zaczyna się wszystko: taniec, rewolucja i erotyzm. Oddech może nieść wielką siłę

MARTA ZIÓŁEK

TAŃCE SPOŁECZNE

GDY NA ULICACH CAŁEJ POLSKI ZACZEŁY SIĘ PROTESTY związane z zaostreżeniem ustawy antyaborcyjnej, Ziółek była jeszcze we Włoszech. – Ciepło było, siedziałam na plaży i medytowałam – wspomina.

– Następnego dnia po powrocie do kraju poszłam na protest i to było moc-

ne przeżycie. Jakby wszystko to, co przeżyliśmy w ostatnich trzech, czterech latach, się kondensowało. Ta kumulacja solidarności i siostrzeństwa i totalny wstrząs – opowiada.

Ziółek ma własne spojrzenie na protesty. – To można nazwać społeczną choreografią albo społecznym tańcem – mówi. W lutym zeszłego roku zrobiła o tym spektakl „Trucizna” w Teatrze Polskim. – To historia wokół choreomanii, zjawiska, w którym taniec jak epidemia nawiedzał średniowieczne miasta – tłumaczy. W czasie spektaklu jeden z tancerzy pyta: „Co dla ciebie oznacza tańczenie?” – Wszystko. To wszystko, co mam. Kiedy tańczę, mogę pozwolić sobie na bycie kimś. – Kim? – Kimś innym niż normalnie”. A Ziółek dodaje: – W czasach ataków choreomanii ludzie tańczyli całymi dniami, a taniec był sprzeciwem, był jak wirus społeczny.

Dla choreografa taniec to forma buntu. – Taki jest chociażby hip-hopowy krump dance, czyli taniec uliczny powstały w Los Angeles ponad 20 lat temu, w którym niektóre gesty przypominają atak i samoobronę, mocno pracuje klatka i mostek. Walczą biodra oraz nogi poprzez silne uderzenia stopami o ziemię – wyjaśnia Ziółek.

Uważa, że taniec i choreografia to świetne narzędzie do opowiadania o tym, co dzieje się wokół nas. Cztery lata temu w dawnej siedzibie Komuny Warszawa przygotowała spektakl „Pixo”. – Inspirowałam się ruchami ulicznymi w São Paulo, zamaskowanym anonimowym tłumem, w którym nie wiadomo, kto kogo atakuje. To przecież wydarzyło się

w ostatnich miesiącach na naszych ulicach. W masie ludzi nie wiesz, kto może być oprawcą, a kto cię obroni – tłumaczy. – Poza tym – dodaje Ziółek – to niesamowite zniesienie barier. W proteście jednocześnie bierzemy aktywny udział i go obserwujemy. Jesteśmy jak jeden organizm, rozlewająca się po mieście masa, którą kształtuje policja barykadująca dostęp i blokująca ulice – opowiada, jakby wszystko, także ulica, mogło być dla niej sceną, widownią, miejscem, gdzie dzieje się teatr.

Na manifestacjach Ziółek krzyczała: „Chleba i tańca”. – Zrozumiałam, że bez tańca nie będzie rewolucji. – Dlaczego nie będzie? – pytam, bo taniec kojarzy mi się przede wszystkim z zabawą.

– Bo potrzeba nam intensywności, która idzie donikąd – rzuca enigmatycznie. Ale zaraz próbuje tłumaczyć: – Każdy protest ma cel, postulaty i racje, ale nie tylko one są ważne. Na ten krótki czas rodzi się antystruktura – karnawał i rebelia, w której nie chodzi tylko o to, żeby być tu i teraz jak w tańcu.

MEDYTACJA W RUCHU

TANIEC TOWARZYSZYŁ ZIÓŁEK NIEMAL OD ZAWSZE. – Od dziecka wyrażałam się przez ruch, najpierw w sporcie, potem przyszedł taniec – wspomina. A na marginesie – bo gdy mówi, wciąż przerywa sobie dygresjami – dodaje, że to niesamowite, jak wiele zachowań już od dziecka określa naszą płęć. – „Nie tup nogą, nie złość się, bo jesteś księżniczką, a księżniczce nie wypada” – mówi. – Jako kobiety jesteśmy uczone, żeby być księżniczkami. Studiując wschodnie tradycje, stopniowo odkrywałam boginie wojowniczeki, które uczą nas szacunku wobec kobiecej siły.

Ona sama jest stanowcza, wyrazista, mówi głośno i dobitnie. Tak jak na scenie, gdy złapie swój rytm, nie sposób jej zatrzymać. Taka była zawsze. – Otarłam się o Gardzienice – wspomina słynną grupę teatralną, której ostatnio złej sławy przysporzyły doniesienia o przemocy wobec aktorek. – Byłam tam nawet na castingach, ale od dziecka miałam trudność z podporządkowaniem się postaciom w typie guru. Gdy spotykałam

takiego nawiedzonego wariata, to włączałam mi się alarm i po prostu uciekałam – mówi.

Swoje miejsce znalazła na wydziale choreografii w School for New Dance Development w Amsterdamie. – Tam zaczęłam szukać tego, co najważniejsze, swojego języka, którym mogę opowiedzieć, kim jestem – tłumaczy. – W szkołach często poznajesz taniec, a potem uczysz się, jak perfekcyjnie go odtwarzać. W Amsterdamie szukałam kontaktu ze swoim własnym ciałem – opowiada. – Czułam tę otwartość, która często prowadzi przez pokonywanie granic swojego poczucia komfortu, poznawałam swoje ciało – dodaje.

*Na manifestacjach
Ziółek krzyczała:
„Chleba i tańca”.
– Zrozumiałam,
że bez tańca nie
będzie rewolucji*

Większość działań artystycznych Ziółek bazuje właśnie na pracy z ciałem. – Ciało to jest najbardziej atrakcyjne medium. Bo to nie jest martwy obiekt. Gdy prezentujesz ciało, to wnosisz z nim wszystko: płęć, seks, kolor skóry. Ciało jest gotowym dziełem sztuki – podkreśla.

Wiele o swoim ciele i o tańcu dowiedziała się niedawno, podczas pierwszej fali pandemii, gdy przyszedł czas zamknięcia w domach. Ziółek wpadła w coś, co nazywa stanem hibernacji. – To było jak wejście do jaskini swojego ciała, medytacja w ruchu. Taniec świetnie pomaga w takich chwilach. Tancerz Steve Paxton nazywał to małym tańcem – mówiąc to, podrywa się z krzesła. – Pokażę ci – staje w pustej sali, jakby była na scenie, oddycha, a z każdym oddechem porusza się coraz bardziej. – Wystarczy, że będziesz oddychać, że poczujesz to, co się dzieje w twoim ciele. To jak przepo-

na zaczniesz nim poruszać. Kładziesz sobie ręce pod klatkę piersiową, a potem delikatnie przenosisz ciężar ciała z nogi na nogę, jeśli wykonasz pierwszy krok, zaczynasz taniec.

MONSTERA, CZYLI POTWORZYCA

– **OD ODDECHU ZACZYNA SIĘ WSZYSTKO:** TANIEC, REWOLUCJA I EROTYZM – podkreśla Ziółek. – Oddech może nieść wielką siłę. Gdy nabierasz powietrza, to jakby ciało przygotowało się do tego, żeby zaraz ryknąć, huknąć, wyjść z siebie – wyjaśnia. – To jest moment, w którym rodzi się spektakl „Monstera” – dodaje.

Monstera to najpopularniejsza roślina w domach mileniów. Rozłożysta, z wielkimi drapieżnymi liśćmi, w dawnej tradycji uważana za lekarstwo, dziś wiemy, że trująca. – Monstera to potwórzyca – mówi Ziółek. „Monstera”, jej najnowsze i najgłośniejsze dzieło, to spektakl przygotowany razem z grupą artystek, m.in. Anką Herbut. – „Monstera” to jest podziemna ceremonia – dopowiada.

Na scenie pojawiają się kobiety wymalowane na niebiesko. Aktorka Monika Świtaj ubrana przez Pat Guzika nie przypomina nawet ludzkiej postaci. Oddychają, bo o to chodzi w sztuce Ziółek, a potem robi się głośniejsze.

– To spektakl o kobietach, ich sile i pięknie, ale nie takim pięknie, które ma uwodzić. To ceremonia, która dzieje się w naszych ciałach – tłumaczy. – To piękno, które płynie ze środka, zderza się z ohydą tego, jak mówi się o kobiecym ciele.

Zuza Wrońska, pisząc utwory, które usłyszymy w „Monsterze”, wykorzystwała wulgarne teksty z forów internetowych. – „Cycki”, „bimbały”, „brochy” – obraźliwe wobec kobiecego ciała – tłumaczy Ziółek. – My chcemy autoerotyzmu, chcemy przestrzeni dla kobiet, gdzie to my wyznaczamy granicę, gdzie możemy być piękne i nieoceniane. Fascynują mnie granice. Kiedy mogę się kochać, a kiedy mogę powiedzieć won, wypier... To jest moja granica. **N**

aleksander.hudzik@newsweek.pl